

**Wywiad podlega ochronie praw autorskich. Jego cytowanie w innych publikacjach jest dozwolone za podaniem autora wywiadu oraz źródła.**

**Wywiad nr 4 (WP\_19\_D\_04),** prowadzony przez dr Irenę Kurasz w ramach projektu Centrum Badań Mniejszości Niemieckiej w Opolu.

**Respondent: kobieta, lat 79, mieszkanka Oleśnicy.**

**B: Czy pamięta pani jak wyglądała sytuacja Niemców w pani regionie po 1945 roku?**

R: Pochodzę z Górnego Śląska, region Kędzierzyna Koźła. Tam do lat czterech mówiło się po niemiecku, bo to jeszcze były Niemcy. W 1945 roku jak Rosjanie przyszli, ojca nam zastrzelili, no wiadomo... W domu był telefon, to oni zrobili sobie tam kwaterę, potem popili i zaczęli wszystkich mężczyzn tam.... Bo to jest taka mała miejscowość, to od wsi dwa kilometry takie siolo, sześć czy siedem tych domów tylko i tam byliśmy. A zaraz za nami płynie Odra, jakieś dwieście metrów, więc jak przyszli do nas i nie mogli przejść przez Odrę i się zatrzymali, i tam sobie pędzili bimber i popili i dla frajdy brali mężczyzn i do nich strzelali. I w tych młodych nie trafiło, bo jakoś pouciekali, ale ojciec miał już wtedy czterdzieści sześć lat, on nie dał rady żeby biec i w śniegu zrobił sobie głową taki tunelik i chciał się do sąsiada przeczolgać, ale dostał w piętę i w udo i tam się wykrwawił i tam zginął i nie doszedł do tego sąsiada. A później jak ten front był, to musieliśmy wywędrować i koło Góry Św. Anny w Porębie, tam sześć tygodni myśmy byli, jak już się skończyła u nas ta cała kwatera i nikogo już nie było, to myśmy wrócili do domu. Tam już nic nie było, ale ja jako pięcioletnie dziecko nie interesowałam się tym. Dopiero później, jak zaczęłam chodzić do szkoły, ale tak powiedzieć, że jakieś represje, to raczej nie. Owszem podchodzili pod dom i tam słuchali, czy się po niemiecku rozmawia, to tam zawsze byli tacy „dobrodzieje”, którzy chcieli mieć jeszcze lepiej. No ale w szkole to nie powiem, żebym tam miała jakieś tam [nieprzyjemności – przyp. IK], bo nas tam było więcej, tam było mało przyjezdnych, tam byli tylko repatrianci zza Buga, i tam było takie osiedle, takie „Siedlungi” jak to mówili, to tam jeszcze Niemcy mieszkali. A jak front się zbliżał, to oni wyjechali wszyscy. I to było puste i tam się właśnie osiedlili. Tam było dominium, PGR można powiedzieć, to tam się poosiedlali i chodziliśmy do szkoły, ja nawet miałam koleżankę, co przyjechała, ja tego nie wiedziałam, że jest jakaś różnica [między nami – przyp. IK], zresztą oni też nie dawali nam tego odczuć... ona może trochę bardziej rozmawiała po polsku, ja bardziej po śląsku, ale tak to nie powiem żeby były jakieś represje czy coś. Może człowiek za młody był, żeby się tym interesować, tylko wiem, że jak już później było tak, że ach, już teraz jak można sobie luźniej rozmawiać i ponemiecku też... to może nie wszyscy chcieli, bo każdy się bał. Ja zresztą jak na początku nie umiałam nic po polsku, to potem nie umiałam nic po niemiecku, bo już nie było tego języka w domu

**B: Czyli w domu nie mówiło się po niemiecku?**

R: Nie, bo mama była sama i miała trzy małe dziewczynki, siedem lat a ja miałam cztery... No to potem my już były w szkole... a jak z babcią, to też po polsku rozmawiałam, bo ona była w ogóle dwujęzyczna, bo ona jeszcze jako młoda dziewczyna chodziła na religię po polsku i ona umiała polski język. Mama raczej nie, ona tylko jak tam coś po śląsku się mówiło, ale to nie było, żeby coś... nasza wioska była cała z tych co zostali, tylko trochę tych co byli stamtąd wysiedleni... No i listy.... Mamy siostra i brat już byli w Niemczech, to nieraz przychodziły listy i mama mówiła „o, był otwierany list”, ale jak ona odpisywała, bo ona też po niemiecku mówiła, bo nie umiała po polsku pisać, szkołę niemiecką kończyła przecież, to ona mówiła, że idzie list wysłać, ale czy go musiała odklejać to nie wiem, bo w Myszkowicach poczty nie było i tam do Koźła trzeba było jechać z listem [...] ja tylko tyle pamiętam, że jak ojciec został zastrzelony, mamy brat jeszcze był młodszy i on przyszedł i już ciemno było i puka pod okno i mówi „Kejta, Kejta, bo ona Katarzyna była, Johann jest zastrzelony. I mama później szła z nami, ja z Małgošką to się trzymałam i darłam się strasznie, nie chciałam nawet podejść do ojca. A moja starsza siostra, to uciekła do babci, bo mieszkała po sąsiedzku, i cały tydzień nie przychodziła do domu.... A ojca to nie można było wtedy nawet pochować, to tylko w ogródku go pochowali, mamy brat, a dopiero po wojnie, gdzieś w maju to

dopiero na cmentarz. Tego pogrzebu to nie pamiętam. Ale tam w szkole czy na religii, to raczej tak nie było, żebyśmy miały jakieś problemy.

**B: A czy spotkał pani rodzinę proces repolonizacji?**

R: To chyba było automatyczne. Tak że nikt tam nie chodził, ale po tej wojnie to chyba trzeba było to obywatelstwo przyjąć, bo jak się nigdzie nie wyjeżdżało, a mama mówi, że nie wyjedzie, bo ma tu męża pochowanego, ona zostaje. A nazwiska też nie musiałam zmieniać, bo nie było to niemieckie nazwisko tylko śląskie.

**B: Oprócz zmiany pisowni imion i nazwisk, zacierano inne ślady niemieckości, napisy na budynkach, zabytki, nagrobki. Czy pamięta pan może przykłady?**

R: Wie pani, tam gdzie mama mieszkała na dominium to tam były nagrobki, ale wszystko było napisane po niemiecku i tam nic nie zmieniali, a inni, choć tam miał nazwisko niemieckawe, to nikt nie zmieniał. Tego nie było, bo to by człowiek wiedział.

**B: Chciałam zapytać o kwestie wysiedleń Niemców z pani okolicy, bo mówi pani, że cała wioska została?**

R: Tak, tak, tylko myśmy tam spod tej Odry, to nas wysiedlili, ale że mama miała kuzynkę tam właśnie w Porębie, to myśmy tam do tej kuzynki poszli, bo babcia jeszcze była i myśmy byli, to poszliśmy do kuzynki do Poręby i tam sześć tygodni żeśmy byli [...]

A później jak mamy siostra [...] jak bombardowali dom i nie miała gdzie iść, to przyszła tam do babci i tam z babcią mieszkała. I ona wyszła za wdowca, i ten wdowiec miał trzech synów i córkę i jak ona była już żoną tego wujka, to te chłopaki byli już studentami we Wrocławiu, to było jeszcze przed wojną, i jak wojna była, to oni byli w wojsku, to dwóch chyba tak uciekło i byli w Niemczech. I jak było po wojnie, jak wujek zmarł i było w 1953 roku, to później oni się starali, żeby ciocia przyjechała, żeby mama przyjechała, bo oni mama na nią mówili, [...] to ona w 1958 roku do nich pojechała jak było to łączenie rodzin.

**B: Czyli pani rodzina pozostając na Górnym Śląsku traktowana była jako Polacy?**

R: Tak, tak, jako Polacy i dlatego tam nie było żadnych problemów. Właściwie nikt się nie sprzeciwiał. Mama nie, bo ona jako kobieta chciała mieć w domu tylko spokój, a tak na żadne zebrania nie chodziła, bo nie miała na to czasu i siły [...] Ale ona po niemiecku lepiej mówiła niż po polsku, po polsku to ona się tylko podpisać umiała.

**B: A czy mama z tego powodu, że tylko po niemiecku mówiła nie miała jakichś nieprzyjemnych gestów ze strony sąsiadów?**

R: Nie, nie. Tu my byli sami swoi, no może coś tam napływowi mogli mówić między sobą, ale ci z wioski się byli zgodali i nigdy nie można było tam nic takiego słyszeć. Nawet później małżeństwa były tych z wioski, autochtonów z chłopakami [z napływowych – przyp. IK], czy też odwrotnie.

**B: Bo napływowych była mniejszość?**

R: Tak, tak, mniejszość była.

**B: Teraz chcę zapytać o odwilż polityczną w połowie lat 50., kiedy po śmierci Stalina polityka została zliberalizowana. Czy odczuwalne były dla pani jakieś zmiany?**

R: Tak, na pewno była jakaś zmiana, bo moja kuzynka przyjechała do nas w odwiedziny, bo ona w Bawarii mieszkała, ta Trauta, bo już wtedy można było przyjechać, to był wtedy 1956 rok, no i ona przyjechała na tydzień czasu, bo chciała zobaczyć jak to tam jest, bo ona mieszkała w Starym Koźlu. I oczywiście do babci i do mamy, bo to oczywiście jest rodzina. Jak to było? Meldować się na pewno tu musiała, ale jakieś problemy, to raczej nie. Wiem że w drodze powrotnej, bo ona przez Poznań jechała, bo to nie było jeszcze wtedy ... ten, a moja siostra już mieszkała wtedy w Trzebnicy i pracowała w tym szpitalu, to ona mówi, to pojedziemy jeszcze do Trzebnicy, ja cię tam odwozę i rzeczywiście z tą kuzynką my tam pojechały i tam były, potem mama z nią pojechała aż do Poznania i wtedy mogła już przyjeżdżać i wyjeżdżać. I te listy można już było wysyłać normalnie, nie trzeba było już tam chodzić na pocztę z jakimś listem [do kontroli przez urzędnika pocztowego – przyp. IK], tylko znaczek się w sklepie kupowało i wrzucało do skrzynki co koło sklepu była i już nic nie było takiego, żeby jeszcze gdzieś trzeba było chodzić z tym. Tak to było.

**B: Czy w tym czasie istniał dostęp do kultury niemieckiej, do książek, do niemieckiej prasy?**

R: Tu u nas na tym Górnym Śląsku to nie. Kto miał, to miał te książki, ale zawsze schowane. Nigdy nie było tak, żeby ktoś tam mógł je znaleźć, bo jak nieraz były jakieś spisy rolne, to tam były jakieś wywiady, to jakieś pytania musiały być, bo ja ino wiem, jak mama powiedziała, żebyście się nie wydały, że my tu mamy taką starą książkę niemiecką, to na strychu leżała tam od ojca jeszcze, czy od kogoś... No, ale nikt się o to nie pytał. Tak więc dostępu jako takiego, to w tym czasie nie było.

(...)

**B: Czy pani pamięta jak pani się spotkała w towarzystwie niemieckim?**

R: To było w 80. latach, jak ja przyjechałam do mojej siostry, ona mieszkała w Kędzierzynie, i mówi „wiesz Krysia, tu jest mniejszość niemiecka i możesz się zapisać i dostaniesz legitymację”, no dobrze, zapisałam się, to było dokładnie w Kłodnicy, potem jak już były lata 80. czy 90. Dokładnie nie wiem, to koleżanka mówi „wiesz Krysia, jest mniejszość niemiecka we Wrocławiu, to może się zapiszemy”, a ja mówię, ja już jestem na Śląsku zapisana.

**B: Ale w latach 80. nie było jeszcze oficjalnej mniejszości niemieckiej, chyba że grupy nieoficjalne ma pani na myśli....**

R: Takie nieoficjalne były grupy, i zapisywali się już, to uczyli się już języka niemieckiego nieoficjalnie, i dostawali skoroszyty jakieś, tam ich więcej było, a ja byłam tu... To wiem, że jak było zebranie we Wrocławiu raz, to ktoś mówi „przepisz się do Wrocławia” i tak się przepisałam do Wrocławia. I później się tam [do Wrocławia – przyp. IK] przenieśliam. [...]

**B: A czy do tego wrocławskiego towarzystwa przeniosła się pani przed czy po 1989 roku?**

R: Nie pamiętam.

**B: A czy kojarzy pani jakie miało ono wówczas warunki egzystencji? O co walczyli, z jakimi trudnościami się borykali, jakie mieli cele?**

R: Tak, ale to może mniej. Bo tam na Śląsku to oni i tak wyjeżdżali wszyscy [do Niemiec – przyp. IK] A potem to oni wszyscy szli na ten Wrocław i większość rzeczy to się załatwiało tu we Wrocławiu.

**B: Mamy więc ten 1989 rok, który był przełomowy dla Polski, dla polityki, dla demokracji i czy dla pani ten czas też był w jakimś sensie przełomowy i jeśli tak, to na czym polegały te zmiany?**

R: Ja jako takiej zmiany to nie...[odczułam – przyp. IK], to później tylko można było wyjeżdżać i żadnych problemów nie było z tymi wyjazdami, ale tak to żeby inne jakieś były.... No ja jak pracowałam w szpitalu, to nigdy się nie przyznawałam, że jestem ze Śląska bo jak były te lata 50. i 60. to była taka mentalność „że ona jest Ślązara”, dopiero w Trzebnicy poznałam [podziały – przyp. IK ], a ci to są zza Buga, a to są Kieleccoki, to tam dopiero się dowiedziałam, że są takie regiony, bo u mnie w domu, to nic takiego nie było. Wszyscy byli Polakami, a jedni byli napływowi a drudzy, to ci co pozostali.

**B: A w kwestii poczucia niemieckości, to mogła pani wrócić do języka niemieckiego, czy w tym zakresie coś się zmieniło?**

R: To jeszcze w Trzebnicy, tam się sama uczyłam tego niemieckiego i to były jeszcze 60. i 70. lata, to [mówili – przyp. IK] „a to się Niemra znalazła, to się uczy niemieckiego!”, ale ja sobie z tego wiele nie robiłam. Natomiast na Górnym Śląsku, to już później nawet i w szkole można było, tam już język niemiecki był nauczany.... A tu nie, kto chciał się uczyć, to musiał na własną rękę, a do Wrocławia to tak nie bardzo było jak jeździć, jak człowiek pracował.

(...)